



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

### Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80  
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

## POGA WĘDKA.

O pewnym zatwardziałym grzeszniku mówi legenda arabska, iż, umierając, popełnił największy występki, albowiem nie przyjął śmierci z należytem spokojem i zlorzeczył za nią Bogu proroka.

Podobnie, jak ów Arab, obeszła się z nami tegoroczna zima.

Grzesząc od zarania dni swoich, darzyła nas chłodem i wszelaką biedą, a właśnie w chwili, gdy zgon jej był we wszystkich kalendarzach zapisany, wytoczyła najcięższego kalibru działa, przynosząc śnieżycę, która odcieła nas prawie na cały ubiegły tydzień od reszty bożego świata.

Dzięki temu, bez wojny mieliśmy przedsmak obłączenia, z tą tylko różnicą, że przynajmniej druty telegraficzne mogły być czynne. Natomiast o wyjeździe lub przyjeździe do Warszawy żadną z czterech zbiegających się tu kolei żelaznych nie można było marzyć, a listy, gazety i... całe setki pasażerów spoczywały uwięzione w zaspach śnieżnych, jakie się na torach kolejowych potworzyły.

Około 5,000 ludzi pracowało przez Środę, Czwartek i Piątek, w różnych punktach (pod Dziewulami, Łochowem, Skierniewicami, Łowiczem, Częstochową i Modlinem), nad przywróceniem zatamowanej komunikacji i wyzwoleniem ugrzęzłych pociągów. Ale, niestety, praca ich była z początku prawie daremną. Wszystko bowiem, co za dnia zrobiono, psuła w nocy ponowna zawieja, przesypując sążniste góry mialkiego śniegu z miejsca na miejsce, we-

dług swego „widzimię“, z kapryśnością nadąsanej kobiety.

Nareszcie w Sobotę, z łaski przyjaźniejszego stanu powietrza, wysiłki ludzkie poczęły odnosić zwycięstwo i pierwsze pociągi nadeszły do Warszawy.

Powitano je jednogłównym chórem zadowolenia, a szczególnie w redakcjach zapanowała niezmierna radość. Trzeba bowiem wiedzieć, że „nasze“ przeglądy polityczne groziły już zupełną ruiną powagi swoich tworców. Nic też dziwnego, że każdy woźny redakcyjny, wracający z poczty w ową pamiętną Sobotę z torbą pełną „informacji z najlepszych źródeł“ (t. j. wszelkich *Blattów*, *Press* i *Journalów*), przyjmowany był pełnym otuchy okrzykiem: „No, jeszcze nie zginęła nasza literatura peryodyczna!...“

Niemniej radośnie nowinę tę powitali ubożsi mieszkańcy Warszawy, albowiem ceny produktów na targach, które już w braku świeżych dowozów popodnoszono, zaczęły wracać do normalnego stanu. Jedyne tylko składnicy węgla nie byli bardzo uradowani. Trzy jeszcze dni dalszej mitręgi, a mieliby dobry „zarobek“, sprzedając zapasy swoje po zdwojonej cenie. Tymczasem, mój Boże! zykali tylko po 3 kop. na pudzie, o tyle bowiem podnieśli cenę tego produktu zaraz w pierwszych dniach przerwy, czyli wycisnęli z biedaków warszawskich (bogatsi, jak wiadomo, mają własne zapasy), za ledwie jakieś tam marne 2,400 rubli...

Wszystko więc dobrze się skończyło. Z zamachu, jakiego na nas dopuściła się konająca (według kalendarza) zima, wyszliśmy obronną ręką, może nawet obronniejszą, niż inni ludzie na świecie. Donoszą bowiem, iż w Szwajcaryi i w Górach Czeskich zginęło na mrozie w ostatnich dniach kilkadziesiąt osób, a na południu Austrii, w Krainie, tysiące drzew w bogatych tamtejszych lasach powylały gromadząc się na okiściach ciężkie, wilgotne śniegi.

U nas tymczasem o niczem podobnem nie słyhać, a szczególnie tej ostatniej klęski uniknęliśmy tylko dzięki nam samym i naszej... przeznaczeniu. Tak jest! Z dumą dziś wyznać możemy, że zawczasu postaraliśmy się o to, aby nas los Krainy nie spotkał i w tym celu przetrzebiiliśmy należycie nasze gąszcze leśne, a to tak dalece, że jak donoszą świeżo z Polesia, będzie tam wkrótce naprawdę *po lesie*.

Otóż to się nazywa pracować dla przyszłości. Teraz dopiero, wobec tego jaskrawego faktu! wychodzi na jaw cała bezzasadność owych skarg gazeciarskich, iż nasze piękne sosny i dęby wędrują do Gdańska. Ot, coby było, gdyby nie wędrowały!...

Bardzo natomiast poważny temat rozmyślać mogłoby stanowić pytanie: co się stanie z owemi massami śniegu i lodu, z chwilą, gdy zima na prawdę konać zacznie? Ale i nad tem nie warto głowy sobie suszyć. Nic naturalniejszego! Te od lat wielu niebywałe massy śniegu będą wówczas topnieć i spływać do Wisły wszelkimi jej dopływami, ona zaś, wołająca dotąd napróżno o regulację, pocznie swe wody na brzegi rozlewać i... wszystko będzie jak dawniej, w porządku.

— Tradycya, panie (jak mówi jeden z moich przyjaciół), nie poniesie, panie, najmniejszego szwanku...

Zdaje mi się też, że odnośnie do czekających nas roztopów wiosennych, ów mój przyjaciel nie omylił się wcale.

Tu i owdzie słyhać wprawdzie o wysiłkach w celu zażegnania owego „tradycyjnego porządku“ i o przygotowaniach na przyjęcie bardzo prawdopodobnej powodzi; ale, niestety, środki te ograniczają się na rozporządzeniach o rozsadzaniu zatorów i rozbijaniu lodu kulami, w razie potrzeby. Na razie trudno nawet żądać czego



innego, ale w tem właśnie rzecz, aby owe coroczne groźby, pod jakimi wiosnę każdą przebywać nam przychodzi, przekonały nareszcie o istotnej i pilnej potrzebie energicznego zabrania się do regulacji rzek naszych, o czem dotychczas słyszeliśmy same tylko obietnice—*verba verba, praeterea nihil!*

\* \* \*

Tymczasem, ze względu, iż powyższa sprawa nie leży w mocy jednostek, ani też całych grup naszego społeczeństwa, możemy śmiało odwrócić oczy od tego smutnego prognostyku.

Wystarczy w tym celu rozejrzeć się w sprawach bieżącej chwili; wiadomo bowiem, że post w Warszawie to dalszy ciąg... zapust. Według utartego zwyczaju, karnawał, z którym tak niedawno—śmy się się pożegnali, odzył nanowo, z tą tylko zmianą, że przyobłókl się tym razem w szaty rautów, koncertów i innych zebrań towarzyskich.

A czyż trzeba dowodzić, że nie noszą one wcale wielkopostnej cechy?

Wprawdzie rozmyślamy obecnie więcej, ale tylko nad ułożeniem rozmowy w zręczne frazesy, których brak przed trzema jeszcze tygodniami pokrywała wybornie fantazyja w walcu lub zapal w mazurze, co zaś do popiołu, owego biblijnego znaku żałoby, to obowiązki jego pełni, jak dawniej, puder, naturalnie, u blondynek, pragnących wysławiane niegdyś „złote kosy“ zastąpić modną popielatą, matową fryzurą.

A jak w karnawale, tak i obecnie, w jego powtórzeniu, bawiąc się, nie zapominamy o filantropii.

Jedną z takich filantropijnych zabaw publicznych był raut w Ratuszu, urządzony na korzyść Towarzystwa pań św. Wincentego a Paulo. Pożyteczna ta instytucja tak rzadko odwołuje się do ofiarności publicznej, a tak wiele czyni dobrego, rozdając żywność w naturze lub opłacając zaległe komorne za ubogich chorych, że należy się jej raz przynajmniej do roku dowieść uznania publicznego, a to właśnie przez liczne zebranie się na jej wielkopostnym raucie.

Oto osmdziesiąt trzy panie, składające wspomniane towarzystwo, rozdały między 750-ciu chorych w ciągu r. z.: przeszło 11.000 funtów mięsa (przysmak biedaka, a ratunek chorego!); dalej, przeszło 100.000 funtów chleba, 731 lekarstw aptecznych, około 1.400 sztuk ubrań, zapłaciły 1.600 rs. zaległego komornego, a wreszcie utrzymywały w swoim przytułku 52 biednych dzieci po zmarłych rodzicach.

Wobec tych wymownych liczb, nie zdziwicie się zapewne, czytelniczki, że byłbym was wszystkie już w poprzedniej pogawędce wysyłał na raut Wtorkowy do Ratusza, gdybym był wówczas wiedział o terminie tej przyjemnej ofiarności. Na szczęście, dowiadując się w ostatniej chwili, że zachęta moja byłaby zbyt czerwoną, w salach Ratusza bowiem było wczoraj i rojno i gwaro, a więc i fundusze tego sympatycznego Towarzystwa zasiłkiły się zapewne wcale pokazną sumką. Kto przyszedł, nie żałował też wcale swojej fatygi. Oto bowiem obok zwykłego popisu koncertowego, zamieszczono tym razem w programmie i loteryę fantową z mnóstwem przeslicznych cacek artystycznych—słowem: raut udał się doskonale.

Podobnie, jak o raucie wtorkowym nie mogłem wcześniej zawiadomić czytelników moich o występach p. Sembrich - Kochańskiej. Wiadomo wprawdzie było powszechnie, iż znakomity „słowik galicyjski“ przejechał już od miesiąca naszą zachodnią granicę, a nawet zapędził się aż do Złotej Bramy Kijowa i tam rozwodził swe trele, ale nikt nie był pewnym, czy zdecyduje się odwiedzić Warszawę. Obiecywano nam to już tyle razy w ciągu ostatnich lat paru—naprawdę, że niedowiarstwu naszemu nikt dziwić się nie może.

Ogólnie rzecz biorąc, niema nic elastyczniejszego nad pojęcie artyzmu i... jego obowiązków, szczególnie zaś my nie możemy się dotąd pogo-

dzić z myślą, aby pewne rodzaje sztuki miały być kosmopolitycznymi. Nie chcę tu decydować czy nie mamy za sobą słuszności, choćbyśmy nawet przy bardzo zacofanych w tym względzie upierali się pojęciach; ale gdy idzie o sztukę aktorską lub, co gorzej, o gardło śpiewaka, powinniśmy nareszcie wyleczyć się z wszelkich złudzeń, choćby kuracya taka czasem nawet przykrą być miała.

Rzecz to, doprawdy, godna rozważenia. Raz bowiem nareszcie wartoby wyjaśnić kwestyę: kto—według wyrażenia poety—„przed swym narodem niesie oświaty kaganiec?“ Zdaje mi się, że dotychczas rolę tę zaszczycaliśmy lada kogo. Sądzę też, że uczone, poeta, dobry rolnik, matka ucząca dziecię pacierza, czynią w tym kierunku daleko więcej, niż Patti, Nilson, Kochańska lub Mierzwiński.

Ten ostatni nie roznosił przecie *naszej* sławy po świecie, gdy śpiewał w Londynie, Paryżu, Madrycie i Wiedniu, ale *swoją własną*. Obecnie w tych ciężkich czasach, prosił o zaszczyt występu w jednym z koncertów w Berlinie—i znowu podług siebie jest w zupełnym porządku.

Ale oto i odwrotna strona medalu. Ludźmi bowiem wolno być nawet śpiewakom i mieć miłe wspomnienia. Niech one tylko obowiązują tych scenicznych bohaterów, nie zaś żadne inne aspiracje, do których nie dorosli i jak się okazuje nie dorosną nigdy.

Otóż taki obowiązek miłych wspomnień miała względem Warszawy p. Sembrich-Kochańska.

Pamiętamy to wszyscy: jak i gdzie „urosla.“

Przybyła tu przed kilku laty z nazwiskiem nieznanem. Zwykły typowy *impresario* warszawski urządzał jej koncert, ale pomimo jego zachwalań, nikt nie chciał mu uwierzyć na słowo i choć biedaczysko gorąco reklamował „rodaczkę“ i na jej pochodzenie się powoływał, sala była za pierwszym razem pustą i „słowik“ musiał wówczas śpiewać raczej sobie, niż swoim.

Było jednakże w tej sali kilku takich, co-to z obowiązku być tam musieli. Poznali się oni od razu na piękności głosu skromnej „drezdeńskiej“ artystki i natychmiast innym zaczęli to zwiaśtować. W ciągu kilku godzin nieznaną dotąd śpiewaczka stała się pierwszorzędną znakomitością. Drugi jej koncert przepełniony był po brzegi, a na występ w teatrze tłoczono się masami. I zapanował w łatwo zapalającej się Warszawie, nie entuzjazm, ale szowinizm. „Nasz słowik“ wołano, a wołano tak głośno, iż Kochańska wyjechała z Warszawy europejską śpiewaczka. Zapewne, nie skonstruowaliśmy jej tutaj gardziółka, ale *coup d'épaule*, jakieś jej tu dali, było początkiem i znakomitą pomocą w jej świetnej dzisiejszej karierze—tego nikt nie zaprzeczy.

I wszystko byłoby w porządku, gdybyśmy od tam Kochańskiej nie kazali nosić „oświaty kaganca.“ Co prawda, świat cały byłby się nauczył z równą łatwością wymawiać: „Kochańska“ jak „Sembrich“; ale jeśli właściciele tych obu nazwisk zdawało się to drugie dostępniejszym dla owego świata—coż na to poradzić? Poczucie własnej godności nie powinnyby nam było pozwolić upominać się o to.

Tymczasem zaczęły się kwasy, żale, przywódki, które przetrwały do dnia dzisiejszego. Obecnie też powitano artystkę jeszcze z wielką rezerwą i uderzono przedewszystkiem na niezwykłą wysokość ceny biletów na jej koncerta. Ale na koncertach tych sala była przepełniona, a na jedyny jej występ w teatrze licytowano bilety do sum niebywałych.

Jak to pogodzić? Najlepiej nie godzić wcale, lecz żądać od śpiewaka tylko śpiewu i... przedewszystkiem... nie wypręgać nigdy koni od karet scenicznych bohaterów i bohatererek. Na to niema rady i oburzenie wraze rzekomego zawodu, nie warte... samego siebie! Tak jest! Do reprezentowania nas przed światem, darujcie, aktor lub śpiewak—to trochę zamało!

Co do artyzmu Kochańskiej, przyznać trzeba, że wzmógł się on znacznie od czasu, gdyśmy ją tu po raz pierwszy słyszeli. Forsowne podróże

i liczne do roku występy nic temu cudnemu głosowi nie szkodzą. Jest to dziś fenomen, zjawisko niezwykle, artystka o szalonych zasobach wokalnych i niedoścignionej umiejętności śpiewu. Koloratura jej już przed laty mogła wprawiać w zdumienie; dziś już przewyższa wszystko, co w tym rodzaju można usłyszeć lub nawet wyobrazić sobie przy najbujniejszej fantazyi muzycznej. Dalej, niż Kochańska, sztuki śpiewu doprowadzić nie można; to już ostatni jej wyraz—to granica ideału!

O pobycie wśród nas wybornej włoskiej śpiewaczki panny Barbi i doskonałego fortepianisty neapolitańskiego pana Cesi, wspominałem już w poprzedniej gawędce. Artystów tych nikt nie znał i szerokoustna fama nie poprzedziła ich przyjazdu do naszego miasta. W pierwszych koncertach swych musieli też walczyć z niedowierzaniem publiczności i... z pustkami w sali. Artyzm jednak, ów prawdziwy, nie tuzinkowy, artyzm, zwyciężył i tym razem. Ostatni koncert tej artystycznej dwójki był przepełniony, a kto nie słyszał Barbi, śpiewającej różne stare włoskie piosenki, oddawna zapomniane, a przecież pełne najświeższej woni, temu naprawdę usiłowałbym dać pojęcie o wyjątkowym smaku i przeslicznym głosie tej artystki. Jeżeli też archaizmy muzyczne mogły być wskrzeszone, to tylko w tej formie i przez taką, jak p. Barbi, artystkę.

Niestety, zasypane śnieżne, rauty i koncerta, zabrały mi za dużo miejsca. Nie powinienem się tem bardzo smuć; albowiem na usprawiedliwienie mógłbym powiedzieć, iż właśnie dlatego byłem wiernym wyrazem chwili—warunek pierwszorzędny dla felietonisty. W każdym jednak razie muszę, choć w krótkości, niejako w *post scriptum*, wspomnieć o zapowiedzianych na początek Kwietnia trzech odczytach złotoustego profesora krakowskiej wszechszkoły, Stanisława hr. Tarnowskiego. Treścią jednego z nich ma być „Epoka Stefana Batorego w jej literackich objawach; temata dwóch innych nie są dotąd znane. Będzie to w każdym razie wypadek elektryzujący myślącą część Warszawy—zwłaszcza, że dochód z prelekcji tych przeznaczony jest w połowie na Osady Rolne, w połowie zaś dla Towarzystwa opieki nad biednymi matkami oraz ich dziećmi.

Do odczytów też przygotowuje się bawiący wśród nas już od miesiąca znany estetyk duński, Jerzy Brandes, zamierzając wypowiedzieć po francuzku kilka prelekcji o Mickiewiczu,łowackim i Krasińskim, oile ich dzieła znane mu są z przekładów.

Przedewszystkiem zaś idźcie obejrzeć „Chrystusa przed Pilatem“ Munkaczego. Arcydzieło to, oddawna zapowiedziane, przybyło nareszcie do nas i zostało umieszczone na Wystawie Zachęty Sztuk Pięknych. Cokolwiekby dałoby się powiedzieć o religijnem pojmowaniu religijnych przedmiotów, zaprzeczyć nie można jednej rzeczy: że obraz węgierskiego mistrza jest prawdziwym arcydziełem i sprawia niezatarte wrażenie. Najmniej może wybitną w niem jest figura głównego bohatera—Chrystusa. Czuć w niej jakiś brak, jakby coś niedopowiedzianego. Zdawać-by się mogło, że artysta chciał Chrystusa mieć koniecznie „Bogiem-Człowiekiem“, i, rzecz dziwna, w tem właśnie pobrał. Chrystus jego ma na Boga zamało boskości, zawiele zaś na człowieka jakiegoś niezemskiego wyrazu; jedności zaś obu tych pojęć nie uzmysławia.

Ale zwróćcie natomiast uwagę na przepyszną figurę Pilata, na stojącego przed jego wzniesieniem głównego oskarżyciela, na żołnierza z halabardą, a przedewszystkiem na owego krzykacza wśród tłumu, który aż obie ręce podniósł do góry dla nadania wyrazem swoim większą doniosłość. Wszystko to brylanty najwzniojszego natchnienia artystycznego.

Idźcie i podziwiajcie!...



# BOŻY GNIEW

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Tymczasem Rakoczy już z Kozakami się porozumiał, wiadano o posłach z Moskwy, a Chmiel ważył: komu się zda, i czy nie najlepiej będzie Turczynowi hołdować, bo ten mu największą mógł dać swobodę.

Jan Kazimierz dwie zaraz, jedna po drugiej, pielgrzymki odprawił do cudownego obrazu w Czerwieńsku, pamiętny groźnych Bojanowskiego przepowiedni, do których Maryi Ludwice się nie przyznał.

Strzębosz, który sam jeden tylko słuchał zachwałych przepowiedni, nikomu też ani słowa o nich nie pisał.

Marya Ludwika, oile mogła, nalegała, aby król sam zaraz stanął na czele wojsk; tymczasem inni, po naznaczeniu trzech regentów: Firleja, Lanckorońskiego i Ostroroga, starali się przekonać króla i królową, że na chłopstwo i kozactwo samemu królowi iść—było to niejako majestat pański poniżać.

Lenistwo Kazimierza chętnie przyjmowało argument ten, chociaż królowa powstawała przeciwko niemu.

Na nieszczęście, chwilowo zdawał się król mieć słuszną i ci, co go od wyciągnięcia w pole wstrzymywali. Nadeszła wiadomość, iż Kozaków wygnano z Zaslavia, że im kasztelan krakowski Bar, zamek i miasteczko odebrał, a ostatecznie Kasztelan Kamieniecki o znaczną klęskę ich przypisał.

Na dowód przywieziono do Warszawy chorągwie, które Kazimierz natychmiast do Czerwieńska odesłał, wszystko przypisując cudownej pomocy N. Panny, do której w tym obrazie miał szczególne nabożeństwo.

Ważyli się tak na zamku warszawskim dwójki wpływy, na przemiany biorąc górę; ale Butler przepowiadał, że królowa ostatecznie zwycięży i, króla w zbroję przyodziewszy, na wojnę wyprawi.

Ona sama, choć niezupełnie do zdrowia wróciwszy, ciągle się z tem oświadczała, że towarzyszyć mu będzie. Dyspensa z Rzymu nadeszła nie dozwoliła już zwlekać małżeństwa i na Św. Trójcę termin został naznaczony.

Zaszła też zmiana chwilowa w królu, który w siebie teraz, wzmóc się starał, iż był najszczęśliwszym; czułym się nadzwyczaj okazywał dla Maryi Ludwicy—i przed Butlerem nawet poprzysiągł, iż małżeństwo to było mu najpożądalszem.

Jakoż w końcu Maja spełniło się naostatek przeznaczenie obojga. Nuncyusz, który wiele się przyczynił do otrzymania dyspensy w Rzymie i najdostojniejsi senatorowie zaproszeni zostali do pałacu na Krakowskim Przedmieściu, gdyż Jan Kazimierz tu chciał wesele swe obchodzić.

Marya Ludwika przybrała na te uroczyste dni pogodniejsze nieco oblicze, zmuszała się do uśmiechu i wesela, lecz zpod tej pozłoty... chwilami przeglądała tęsknica i jakby wątpliwość.

Im bliżej teraz poznawała męża, tem silniej czuła, że więcej na własną siłę i wpływ rachować musiała. Wyśmienity humor króla, który dwa razy poszedł w taniec, raz z marszałkową Kazanowską, drugi raz z Lubomirską, ożywienie się jego, rozmowność, Butlera tylko nastraszyły.

— Będziemy za to pokutowali! — mówił Strzęboszowi—Nigdy się ja króla nie boję więcej, jak

wtedy, gdy jest bardzo szczęśliwym; naówczas tylko co nie widać, gdy w gniew i rozpacz wpadnie...

Marya Ludwika po kilkodziennych ucztach, mowach, i według zwyczaju ofiarowanych jej darach, które przychodziły w porę na wyczerpany skarb obojga (Gdańsk sam przysłał donatywę na trzy tysiące czerwonych złotych szacowaną), wymogła na królu powołanie senatorów dla narady: czy król sam osobą swoją miał jechać na wojnę—i czy pospolite zwołać należało ruszenie. Postarała się o to wpływem swym królowa, ażeby najwyższe hetmaństwo powierzono królowi i zgodnie go upraszano iść swą osobą na nieprzyjaciela.

Jan Kazimierz ciągle przez nią podbudzany, rycerskim duchem natchniony, nie sprzeciwił się i dopóki był pod wpływem jej, oświadczał się z gorącym pragnieniem ruszenia na wojnę.

Pospolitemu ruszeniu sprzeciwiało się wielu, nie chcąc niem szerzyć postrachu i jawnie okazywać całej grozy położenia. Łudzono się ciągle, iż chłopstwo... strwożone... pokonanem zostanie.

Cząstkowe na Wołyniu powodzenie niektórych oddziałów do pewnego stopnia tłómaczyło ten opór przeciw pospolitemu ruszeniu...

Chorągiewek zdobytych na tych różnych pułkach kozackich nasłano tyle do Warszawy, iż król z królową, nową pielgrzymkę odprawiając do Czerwieńska, pół seciny ich u ołtarza N. Panny złożyli.

Pobożność ta wszakże nie zachwiała postanowienia, aby król osobiście w wojnie czynny wziął udział. Nalegała na to królowa i miała po sobie wszystkich, którzy królowi dobrze życzyli.

Jednym z tych powierników, przed którymi Marya Ludwika wszystkich swych myśli i pobudek postępowania tać nie potrzebowała, był kanclerz Radziwiłł.

— Książę! — mówiła mu otwarcie — powinneś być mi pomocą i poprzeć wyprawę króla na wojnę. Przeszłość nieszczęśliwa ciąży na nim: niepowodzenia, niestateczne zmiany, lekkomyślność przypadkowa może; sława wojenna jest mu koniecznie potrzebną. Nie powątpiewam o mężstwie jego, a gdy raz w pole wyciągnie, pewną jestem, iż się przejmie duchem rycerskim i całym sercem spełniać będzie swój obowiązek.

— N. Pani — odparł Radziwiłł — jest to wistocie koniecznością niemal, ażebyśmy króla podbudzili i zmusili stanąć na czele; ale, uchowaj Boże, czego nie przypuszczam, klęski...

— A! nie! nie! — zakrzyknęła królowa gwałtownie. — Zwycięztwo jest pewnem, niezawodnem! Nie godzi się ani na chwilę o niem powątpiewać. Sam urok, odgłos... niepodobna, aby na ten motłoch nie podziałał.

Król zresztą mieć będzie z sobą do rady najzdolniejszych i znakomitą siłę żołnierza dobrego. Nie godzi się mu odbierać sławy, która jest tak potrzebną, aby obudzić poszanowanie i zaufanie...

Pozyskawszy Radziwiłła, ujęła na swą stronę królowa Ossolińskiego, zjednała innych, potrafiła nawet przez swój dwór wpłynąć na tych, co otaczali ciągle Kazimierza, nie wyjmując Butlera, i zniewolić ich, ażeby króla karmili nadzieją zwycięztw i sławy.

Wszystko to się powiodło lepiej, niż spodziewać się było można. Pierwszy raz w życiu Kazimierz trwał dłużej w postanowieniu. Wszystko dokoła niego przybrało postawę rycerską, szcęk i brzęk oręża dawał się słyszeć nawet w antykamerze.

Małe zwycięztwa, o których dochodziły wieści, prawdziwe, czy fałszywe, wyraźna opieka niebios, którą czuł nad sobą król, dodawały mu ochoty do łatwego, jak się zdawało, zdobycia laurów. Ukrywano może niektóre szczegóły przed nim, któreby rzeczywisty stan walki ze zbuntowanym Kozactwem poznać dały.

Gdy się to działo w Warszawie, najdzielniejsze siły Rzeczypospolitej, z prawdziwym bohaterstwem, godnym wiekuistej sławy, opierały się ogromnej potędze motłochu, dziesięćkroć liczniej-

szego o głodzie, w niedostatku środków obrony, wśród nieustannej grozy zdrady, która się wciśkała wszędzie...

Oblężenie to Zbaraża epopeją jest, której uniesmiertelnieniu żadne pióro nie starczy. Ten heroizm głodny a wesół, ta śmierci pogarda, te codzienne ofiary życia, a jako chór towarzyszący im, urągawisko motłochu rozszałatego swą zwyciężącą siłą, pijanego zwycięztwem i gorzałką!

Wśród tych okopów Zbaraża stali prawdziwi pokutnicy za grzechy narodu, którzy zasłużyli na palmy męczeńskie. Wiedziano w Warszawie przez tych, którym się z oblężenia wykraść udało, jak zrozpaczone tu było położenie, jak pilno potrzebna pomoc, z królem, czy bez króla; lecz naprawdę całej grozy, całej straszliwości, znękania wojsk pozbawionych nawet chleba, nikt tu nie wyobrażał sobie.

Królowa tylko, której potrzeba było skłonić męża do wyciągnięcia w pole, wiadomościom ze Zbaraża dawała całkowitą wiarę, gdy inni starali się je przesadzonemi okazać. Nie wierzono w Tatarów, nie chciano dać wiary półtorakroć sto tysięcy liczącemu Kozactwu pod okopami, w których zaledwie dwadzieścia tysięcy bohaterów opierało się im dotąd zwycięztwo, aż nareszcie gońce, zwiastujący głód blizki, brak prochów i kul, i ostateczne znużenie tych ofiar, zmusiły przyspieszyć ciągnięcie.

Zapowiedziano, że król do Lublina naprzód ma się udać, gdzie wojsk obiecanych pułki gromadzić się miały. Jan Kazimierz zdawał się odmłodzonym, wesółym, ufnym i tak ożywionym, a pewnym zwycięztwa, jak nigdy.

— Raz temu zawichrzeniu położyć koniec potrzeba — mówił z zapalem — a przy pomocy Bożej.. Zdaje mi się, że godzina wybiła!

Ktoś podszeptował o Tatarach.

— Jako żywo, ich niema i nie będzie! — odpowiadali drudzy...

## IX.

Ze świetnym orszakiem, przeprowadzany przez królową, pobłogosławiony przez duchowieństwo, pełen otuchy, wyruszył król z Warszawy. Marya Ludwika powróciła uspokojona, dopięła tego, czego pragnęła: uczynić miała rycerzem i zwycięzcą człowieka, który dotąd nosił na sobie tylko nieudolności i niestateczności piętno. Dokażała niemal cudu tem, iż potrafiła umysł Kazimierza przez dłuższy czas na jednym skupić przedmiocie, nie dając mu się rozczarować i zniechęcić.

Wszystko dokoła niego tchnęło teraz rycerstwem, bojem, bohaterską żądzą przelania krwi za wiarę i za kraj.

Lecz—dodać potrzeba też, dla określenia tego zapалу tak niespodzianie obudzonego, iż wojna, którą rozpocząć miano, z Warszawy i z Lublina jeszcze wydawała się łatwym pochodem, w którym imię króla unosząc się w powietrzu, jak odgłos trąb mury Jerycho... miało rozproszyć wrogów.

W Lublinie już wieści nieco groźniejsze, przepowiadały nie tak łatwy pogrom i zwycięztwo.

Jednego wieczora, właśnie, gdy król miał klęknąć na modlitwę, oznajmiono mu posła panów regimentarżów od Zbaraża.

Był to dobre tu wielu znany Stopkowski; lecz najlepszy przyjaciele w odartym, wynędzniałym, schudzionym, bladym, w tem z wymokłemi wargami i ogniem tylko rozpaczliwym świecącemi oczyma widmie żołnierza poznać nie mogli dzielnego, silnego, wesolego towarzysza.

Przynosił on listy od wodzów zamkniętych w okopach, ale oblicze jego było najwymowniejszym pismem, najlepszym świadectwem tego co wojsko przecierpiało.

Gdy król, bledniejąc, pismo odczytywał, Stopkowskiego zarzucano pytaniami, na które on niechętnie odpowiadał.



— Co ja wam rozpowiadać mam — mrucał — patrzcie na mnie, tacyśmy tam wszyscy. Jużesmy z głodu konie, psy i szczury pozjadali... Nie wiem rychło-li nam samych siebie żrąc przyjdzie...

Posadzono go za stół, usiłując odżywić i natchnąć nadzieją, lecz biedak nadto cierpiał, a nade wszystko nadto widział aby wspomnienie krwawe łatwo się zatrzcęć mogło.

— Nie pytajcie mnie — mówił głosem drżącym — bo jeśli wnet na pomoc braci utrapionej poskoczyć nie możecie, serce wam pęknie słuchając, co my tam przecierpieliśmy i cierpiemy.

Tylko cudom mężstwa i nieustannej czujności winniśmy, żeśmy na jatki nie poszli chciwemu krwi motłochowi!

Pod Zbaraż spieszcie! na Boga! pod Zbaraż, póki czas, abyscie nie przyszli napóżno kurhany sypać i trupy oplakiwać.

Listy, które przywiózł Stopkowski to samo mówiły, król sam poruszył się tak, iż chciał natychmiast ciągnąć dalej; ale tu poskoczyli senatorowie, — wołając, że króla nie godzi się narażać, dopóki sił dostatecznych nie zbiorą, bo i trzecie wici były wyszły na pospolite ruszenie, a szlachta się tak opieszale ruszała i ścigała, iż gdzie na tysiące liczone, i secin się doliczyć było trudno... Prawie codziennie przyciągał mały jakiś oddziałek, chorągiew, trochę ludu strwożonego i bez onego ognia w piersi, co zwycięstwo zwiastuje. Starszyna i król gorzeli, ale nie było z kim iść...

Było to owe sławne pospolite ruszenie, o którym z goryczą potem śpiewał poeta owego czasu (Morsztyn):

Brzemienne góry myszkę urodziły,  
Mały deszcz chmury ogromne spuściły.  
Ty, co to pragniesz spólnego ruszenia,  
Porachuj się sam i spytaj sumienia,  
A rzeczesz, widząc serce, rząd i siły:  
I te-by góry myszkę urodziły...

*Parturiunt montes...*

Z tą siłą, jaką miał król, musiał posuwać się dalej, a przybycie znękanego posła zpod Zbaraża było dla wodzów potrzebną przestrożą, aby szli z ostrożnością niezmierną, jakby w kraju nieprzyjacielskim, gdzie już, dla chłopstwa, nigdzie nikt bezpiecznym nie był i wrogami czuł się otoczonym.

Wrażliwy król, chociaż długo nigdy w niczem wytrwać nie umiał, tem mocniej w pierwszej chwili odczuwał, co miał przed oczyma. Stopkowskiego opowiadanie przejęło go do szpiku kości i na chwilę zmieniło zupełnie. Heroizm obłożonych, którym spieszyć na pomoc było potrzeba, własna godność i bezpieczeństwo, uczyniły go innym człowiekiem.

Nie dawał dniem i nocą pokoju strażom i czatom, nie kładł się spać, nie rozbierał, hasła wydawał i zmieniał, koni swych rozsiadłać nie dozwalał i ledwie w namiocie przypadłszy na spoczynek alarmował natychmiast. Pochodnie kazawszy zapalić, objeżdżał wojsko... puszczał się aż do czatów, aby je widzieć na oczy.

Taka nadzwyczajna gorliwość musiała też i w drugich mężstwo i czujność wzbudzić. Zaraz też duch inny wionął na wojsko, choć Stopkowski mu go przynieść z sobą nie mógł, bo ten jeszcze grozą łaźni, z której się wyrwał, był przejęty.

Czego nigdy nikt spodziewać się nie mógł, Sapieha i inni baczniejsi dowódcy króla powstrzymać i hamować musieli, ciągle się oglądając na to, azali pospolite ruszenie nie nadciągnie gromadniej.

Najgorszem było, że w pośpiechu tym ani miano czas rozpoznać się, ani rozsluchać, czy na drodze gdzie nie czekał ich nieprzyjaciel, co Stopkowski przepowiadał, trzymając przeciwko wszystkim, że Tatarowie na nich uderzą.

Drudzy wbrew przecyli, opierając się na tem, iż prosty lud nic o Tatarach nie wiedział i nie

słyszał, a nie posądzano ludu tego, że milczał umyślnie... i zdradzał...

Mnóstwo Rusi, której serce biło do Chmiela, służyło pod chorągiewami panów z królem ciągnących, a w tych nikt się też zdrajców nie domyślał, ani ich nie posądzał. Zbiegali codziennie prawie, powracali nazad, przynosili umyślnie fałszywego języka.

Stopkowski, który już się nasłuchiwał i napałtrzył w Zbarażu wszelkiego rodzaju nikiemnego zdradziectwa... ostrzegał napróżno.

Jakże się lękać było można człowieka, który wczoraj szczerze obdarzony, pokornie rękę pańską całował, na ziemię padał, miłość poprzysięgał, a tejsamej nocy, najlepszego konia uchwyciwszy, biegł szukać Kozaków, aby im służyć!

Ciągle tedy spierając się o Tatarów, o których rozpowiadano, choć ich jeszcze nikt nie widział, ciągnął król dosyć czujnie od Zamościa pod Zborów, a tu już zgłiszczą po drodze i zbiegli od tatarskich pęt świadczyli, że Orda wistocie Kozaków posiłkowała.

Aliści ani liczby jej, ani kędy się obracała, nie znał nikt, gdy Tatarski Han już Pelkę, chorążego pułku ostrogskiego, pochwyił i innych też wziął, a biciem i mękami zmusił, że o wojsku i królu śpiewali, co wiedzieli.

Tuż i wezbrana po deszczach Strypa i Zborów, na lewo dębowym gęstym lasem otoczony, a gdy w kościele na drugim brzegu za rzeką na nabożeństwo biją w dzwony i król, dla uroczystości Wniebowzięcia przeprawia się, aby mszy św. wysłuchać, harc z Tatarami się poczyna...

Król mimo całej czujności swej wiedział tylko tyle zpod Zbaraża, co mu listy Stopkowskiego przyniosły, a o Tatarach i ich sile tak, jak nic: gdy przebiegły Chmiel policzył pułki i siły, a Tatarom wskazał, gdzie polskiego króla i obozu szukać mieli.

On toż sam z częścią swoich czatował w odwodzie.

Tu dopiero tym, co dotąd z Kozactwem i jego chytrnością do czynienia nie mieli, co je sobie wazyli lekko, co śmieli się, gdy w Warszawie rozpowiadano, że Chmiel miał swoich i w Wenecyi i w Watykanie i na Cesarskim i na Sułtana dworze, otworzyły się oczy i poznali, że nieprzyjaciel to był straszniejszy, niż się zdawał... a owo pijaństwo nieustanne i gburówstwo udanem było, owo chłopstwo umyślnie wdziane i noszone.

Nim się też dowiedziano o Tatarach, już Korycki, który w odwodzie był z pułkiem ostrogskim (tym, który w Toporowie Pelkę i Żółkiewskiego utracił), ścierał się z nimi, a choć garść miał tylko przeciw Ordzie, zahamował ją nieco... Z drugiej strony Tatarowie na ciągnące wozy napadli, przy których nikogo, krom ciurów nie było, a ci uszli i wozami droga się zaparła, a zamieszanie powstało straszne.

Szczęściem, że z orszaku króla nie potracili głów wszyscy i mężstwo mieli, większe, niż szczęście.

Co prędzej i wozów i mostów na Strypie bronić było trzeba. Skoczył tedy ochotnikiem ze swymi Witowski i postanowili murem stać, aż-by się wojska i króla doczekali. Do niego przyłączył się Ossoliński, starosta stobnicki, i pięć niezbyt odzianych chorągwi Województwa Ruskiego. Ci nietylko impet wstrzymali, ale Tatarów odparli.

Trwało to wszakże krótko, choć z posiłkiem nadszedł i otuchą Sapieha, z siedmią chorągiewami dobrze okrytymi i choć na sercu nie zbywało. Orda w dziesięć koni liczniejsza zalewała dookoła... czerniało od niej, jak od mrowia i odgłos walki głużył kościelne dzwony.

Zlą, zaprawdę, wróżbą było to wciągnięcie do Zborowa, gdy na samym wstępie co najmężniejsi ochotnicy padli, usiłując powstrzymać dzieć, dopóki-by król się z wojskiem nie przeprawił i nie rozłożył. Zginał tu pierwszy Witowski, który innych za sobą pociągnął, Załuski, podpułkownik, obok niego, a mężnego Sapieha, pod którym konia ubito, służba jego na rekach wyniosła.

Załował król najmocniej Balduina Ossolińskie-

go, synowca kanclerza, który znalazł się u boku królewskiego, aby mu pogrzeb sprawił, młodego Tyszkiewicza i wielu a wielu innych z najdzielniejszej szlachty ruskiej. Ani się było można pocieszać tem, że takimi ofiarami okupiono zwycięstwo, gdyż zaledwie obronną ręką wyszedł król, opędziwszy się émie tatarskiej, aby się mógł obozem rozłożyć i okopać...

Wojsko tchnąc, ani spocząc nie miało czasu, gdyż natychmiast taborem się potrzeba było obwarować, wałem osłonić, a wielka siła Ordy, w którą wczoraj nie wierzono, dziś już aż nadto się czuć dawała.

Tem jednym mógł tylko pocieszać się król, że do miary niebezpieczeństwa mężstwo urosło, bo nietylko to pierwsze starcie, tak krwawe, nie strwożyło, ale wznieciło zapal nadzwyczajny.

Wieczorem późnym, gdy do chałupy, w której król się pomiescił tuż przy obozie, weszli: Ossoliński, który synowca oplakiwał, Stanisław Potocki, Jerzy Lubomirski, okryty pyłem i obryzgany krwią, ocalony Sapieha, a z niemi co najprzedniejszego wojsko miało — wszyscy słów nie mieli na wychwalanie tego mężstwa, z jakim wojsko się całe potykało i krom ciurów a woźnic, którzy na chwilę od wozów odbiegli, nie było człowieka, coby do ostatka nie wytrwał pod gradem strzał... i naciskiem Tatarów.

— N. Panie — odezwał się młody Sobieski, Starosta Jaworowski, dzień to wielkiej sławy dla oręża polskiego, bośmy niespodzianie pochyceni, przemagającą siłą parci, w najniewygodniejszym stanowisku, cudu dowodzili, odpierając nieprzyjaciela. Dosyć nam jednego Kowalskiego, aby dzień ten upamiętnić...

— Jakiego Kowalskiego? — zapytał król.  
— Chorążego Ziemi Lwowskiej; — dodał Sobieski. — Tatar mu prawą rękę uciął, którą chorągiew trzymał; chwycił ją lewą, tuląc do piersi, a gdy i tę mu odrąbano, sam się położył na chorągwi i obronił ją.

— A Rzeczycki, Starosta Urzędowski — odezwał się Kasztelan Braclawski, Stępkowski — na którego patrzyć, jak się ze trzema chorągiewami między oplotki wparł, gdzie go ścięto.

— Rzeczyckiego tem więcej żal — dodał Sobieski — że nam tłómaczów braknie, gdy języka dostaniemy, a on po turecku, arabsku, persku i po tatarsku *expedite* mówi...

— Mnie mego Czarneckiego przy wozach ubito — westchnął król...

— Niepoliczyć strat naszych — dodał kanclerz Ossoliński. — Szliśmy ostrożnie, czaty wysyłając, starając się o nieprzyjacielu wiedzieć: nie pomogło nic. Lud strwożony z Kozactwem trzyma, a nam, kłaniając się, kłamie, bo już Chmiela zwycięstwa upoił jego i wszystkich...

Jan Kazimierz nie chciał jeszcze wierzyć w wielką Ordy potęgę, ale co chwila przynoszone wieści ją potwierdzały. Ossoliński i Jerzy Lubomirski, wszyscy zresztą, zgodnie największą baczność doradzali.

— Łacno to dostrzedz — rzekł kanclerz — iż Chmielnicki nawałę tę tatarską zesłał na nas; aby nam nie dać ciągnąć Zbarażowi na pomoc. Musimy się wyrębać z Tatarów... i rozproszyć ich. Długo stać nie jest w ich obyczaju...

— Daj Boże, abysmy ich zmusili — odparł Sobieski młody — lecz lękać się trzeba, aby ich tu liczba taka nie znalazła się, przeciw której my z największym mężstwem nie podolamy.

Przez całą tę noc nikt w obozie nie zmrzył oka. Szło i o wojsko i o bezpieczeństwo osoby króla, który mężstwo obiecywał znaczne, lecz i nieopatrzność a niedoświadczenie zdradzał. Wybrali więc wodzowie sześciu najdzielniejszych z młodzieży, którzy na krok króla nie mieli odstępować. Z tych później Jan Kazimierz dwu tylko przy sobie zostawił: Jędrzejewskiego i Śladkowskiego, czując się wśród wojska bezpiecznym, i trzymając w głównym korpusie Huwalda, gdzie była piechota niemiecka i usarskie chorągwie...

Na wszystkie strony poroższył czaty: nigdzie daleko sięgnąć nie mogły. W koło leżeli Tatarowie. Pełną ich była dąbina, zarośl i wzgórze...



Królowi dodawano męstwa i otuchy ale dowódzcy między sobą, zebrawszy się później na radę u Ossolińskiego, przyznać się musieli, że tu bodaj drugi Zbaraż się gotował, jeżeli w prędkim czasie Tatarów się przełamać i rozproszyć nie uda.

— Gdyby Orda sama była tylko — rzekł Ossoliński — choćby jej dwakroć tyle na nas narlało, nie lękałbym się tak bardzo; nie z Tatarami jednak do czynienia mamy, ale z Chmielem, którego ręka niewidzialna jest wszędzie. On nas policzył wprzód, niż my sami siebieśmy zarejestrowali, on na nas ich nasłał, a sam w odwodzie stoi tak pewno, jakbym go widział...

— Święta prawda, panie kanclerzu — wtrącił młody Sobieski. — Chytrości jego padliśmy ofiarą, nie chcąc wierzyć w nim, czas wistocie przekonać się, że nie z lada jakim wrogiem do czynienia mamy.

Mybysmy też chytrości zażyć powinni — dodał Sobieski — aleśmy do niej mało zdolni, a z nadto szlachetni, paść tak, jak Kowalski, dać się rozsiekać w opłotkach: to nasza sprawa... a po dejś nieprzyjaciela...

— Zaprawdę — rzekł cicho Ossoliński — jużbysmy w ostateczności tej i do przebiegłości uciec się powinni, lecz nie widzę, jakbyśmy zażyć jej mogli?

Sobieski dumiał chwilę...

— Z Kozakami tą chytrością nic nie wskóramy — rzekł — a z Tatarami, którzy dawniej Rzeczypospolitej służyli, podarki od niej brali — i nie są tak przebiegli, jak Kozactwo... czemu-by nie próbować?

— Żebyśmy choć Rzeczyckiego mieli, który się z Tatarami mógł rozmówić — wtrącił Ossoliński — ale i tego nam zła dola... wyrwała.

— Nie chwalcąc się — odparł Starosta Jaworowski — mógłby go może zastąpić?

— Wy? — zapytał Ossoliński.

Sobieski się pokłonił.

— Pobić ich możemy próbować — odezwał się Starosta — a — poszczęści-li nam Bóg jutro, tem lepiej, — jeżeli ich nie odeprzemy — spróbujemy kupić... Na sprzedaż są...

Podumał chwilę kanclerz.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## NOWINY PARYZKIE

Paryż w Marcu 1886 r.

Działalność kobiety. — Dążności społecznej, stanowisko w dziedzinie Sztuk Pięknych. — Wiedeńskie Stowarzyszenie kobiet autorek i artystek. — Ciekawe szczegóły. — Stowarzyszenie artystyczne kobiet we Francji. — Wystawa zjednoczonych kobiet artystek. — Wystawa artystyczna przy ulicy Volneya. — Nowy obraz Munkacsy'ego: *Ostatnie chwile Mozarta*, z muzyką. — Reminiscencya krakowskiego odczytu o Szopenie. — Reklamy. — Przedsiębiorstwo i sztuka w naszych czasach. — Nowy zwrot literacki we Francji, do wyjścia z pozytywizmu. — P. Bourget i jego nowa powieść *Un crime d'amour*.

(Dokończenie).

Słowo króciuchne tutaj, dla tych, którym są obce stosunki i osoby tutejsze. P. Sedelmayer jest to handlarz obrazów znany tu i posiadający nie mało znakomitych bardzo przedmiotów na sprzedaż, nie w jakimś ciasnym i brudnym sklepiku, ale w pięknych, obszernych i jasnych salonach własnego domu, co dowodzi, że niema handlu bez korzści, i że ten handlarz musi mieć *sensus wachalis*, niezmiernie subtelny. Oprócz tej sytuacji oficjalnej, ma on jeszcze drugą prywatną: jest on szczęśliwym teściem znanego czeskiego malarza Brozika.

Ten Sedelmayer, zrozumiawszy całą wartość talentu Munkaczego, ocenił go z właściwą sobie ścisłością rachunków i zakontaktował na swoje usługi. Płaci on malarzowi sto tysięcy franków rocznie, jak powiadają; nie zaręczam za ścisłość rachunku, bom kontraktu nie widział, ale mniejsza o sumę, dość, że go zobowiązał

umową do oddania na własność, jemu, Sedelmeyerowi wszystkiego, cokolwiek malarz stworzy w ciągu roku. On zaś, przedsiębiorca, przyjmuje na siebie obowiązek urzędzenia stosownej i dobrze wyrachowanej reklamy, i po wystawie w Paryżu, obwożeniu później obrazu po wszystkich stolicach świata, gdzie bardzo przemyślnie przysposobiona i rozgrzana publiczność, wstępniemi zawiadomieniami, ciśnie się tłumami na wystawę i przynosi Sedelmeyerowi, nietylko owe 100,000 fr. kontraktu, ale i czysty, piękny zarobek, za fatygę i za wydatki podróży.

Są to spekulacje artystyczne, nietylko nowożytnie, ale i nowoczesne, nieznanie dawniejszym malarzom, a jeśli mają w sobie tę zasługę, że żaden dziś malarz za kontraktem nie umrze ze znużenia, jak Correggio, niosąc na plecach cenę obrazu, legendowy *worek z miedziami*: to z drugiej strony przytępią naprzód wszelkie natchnienie, wszelką żądzę tworzenia i doskonalenia się artysty, bo ten, upewniony sownie naprzód, co do materialnych potrzeb i zysków, nie potrzebuje robić wysiłków i prędko puszcza w poniewierkę swój prawdziwy talent.

Biegły w sztuce reklamy Sedelmeyer tak się urządza, ażeby publiczność zamknięta w zupełnie ciemnej sali patrzyła na obraz zdaleka, sam zaś obraz, ustawiony w pełnym i wielkim świetle, które nań pada z góry i wszelki jego efekt pomnaża do nieskończoności, imponuje widzom Puszczać się na takie figle. Sedelmeyer, jako handlarz, robi interes, i wie co robi; a malarz, a artysta? — niepodobieństwem jest, aby się utrzymał na wysokości swojego pierwszego zadania. Gdyby nawet chciał zdobyć się na tyle heroizmu, to go Sedelmeyer ściagnie z drabiny. Jemu potrzeba efektu teatralnego i durzenia publiczności, a o sztukę on dba tyle, ile pies o piątą nogę.

Przejdźmy już do literatury, gdzie się widocznie gotuje bardzo wielka zmiana. Po więcej, niż piętnastu latach panowania, *Pozytywizm* i *Naturalizm*, takie, jak je rozumiano we Francji, przeszedłszy dość niefortunnie ośpę pornografii, chyła się, oczywiście, do upadku, i gotują do nowego awataru, do przejścia w ów okrzyczany idealizm, nie taki może, jaki panował we Francji na początku tego stulecia, ale jaki jest możliwym do wskrzeszenia, na ruinach wszelkiej zasady moralnej i wszelkiej etycznej reguły, które tak szeroko zaścieniają dziś Francją.

Nietylko już przesycona tem pornograficznym paskudztwem publiczność zaczyna odpychać widocznie ten obrzydliwy i niestrawny pokarm, prawdziwy bigos hultajski literacki, ale i najznakomitsi koryfeusze tego przedsiębiorstwa, sami zaczynają wyrwać chwasty, oczyszczają powoli zablocone chodniki, otwierają okna i starają się przewietrzyć podejrzaną woni domowstwo. Tak widzimy, jak sam p. Zola, „Ipse Zola“, w swojej nowej powieści, po tytule: *L'art*, — ogłaszanej w tej chwili w odcinku jednego z wielkich dzienników, unika widocznie, i to bardzo troskliwie, wszelkich owych dawniejszych nadnaturalności, za którymi się ongi tak silnie uganiał.

Francuzi, którzy na wszystko mają czas i modę, umiając doskonale rozpoznać horyzont, z wielką trafnością przewidzieć zmianę, poczuć zkad wiatr pomysłny wieje, wynoszą się z awanturą jak szczyry, z budowy grożącej ruiną. Znajdają się tu zawsze ludzie gotowi rozpocząć robotę nowej budowy, tuż około walącego się domu. To jest ich charakterystyczną cechą i dlatego to w częstych swych przewrotach politycznych zawsze stawali na nogach, padając z największą nawet wysokością. Wyszli się więc zaraz naprzód, tak zwani *Pessimisci*, i zaczęli rozprawiać gorąco o Schopenhauerze i Hartmannie, bo chociaż śmierzdi Niemcem, jest im przeciw na rękę. W początkach były to rzeczy powtarzane na wiatr, za kimsiś, co czytał o tem coś, napisanego przez kogoś, który sam może nie czytał więcej nad jedną kartkę wyciągów z tych filozofów specjalnej niemieckiej szkoły. Dalej wzięto się do tłumaczenia w całości, aby się przekonać o tem, co się tam kryje w głębi tej gmatwaniny, trochę niezrozumiałej, dla prostego, zdrowego rozumu: i dziś już wprowadza się ta niby nowa doktryna i zastosowuje się w literaturze,

ale z tym przyrządem francuzkim, który własny swój sosik musi zawsze dodać do cudzej zwierzyny...

Jednym z tych apostołów powrotu na nową drogę, jest bardzo tu dziś chwalony, człowiek będący w modzie, p. Paweł Bourget. Pierwsza jego powieść, która była jeszcze cała przesiąknięta tym odorem medańskiego pozytywizmu, zkad apostoł przybywał, była to owa: *Okrutna Zagadka* (*Une cruelle énigme*), o której mówiłem wam w swoim czasie, jako o nowości literackiej. Ale ponieważ i w tej już dwupłciowej kreacji, pewne dążności i pewne formy stylu zdradzały nowatora, zaczęto więc zaraz ciekawie zaprzętać się dziełem, nie chcąc jeszcze wynosić pod niebiosa nowego przybysza.

Następnie, w *Nowym Przeglądzie* (*Revue Nouvelle*), pani Adamowej, ogłosił on pewien rodzaj literacko-filozoficznego studium, mający na celu ocenienie prawdziwej wartości i dążności pisarza nowej szkoły pozytywnej we Francji, ze zwrotem na pesymizm, czyli rozczarowanie moralne... Praca ta, w której podniesione zadanie, było traktowane dosyć powierzchownie i gdzie słabość argumentów zastępował wdzięk stylu, miała widocznie za główne zadanie wykład własnych dążności autora, na podstawie dorywczo streszczonych i niedostatecznie wystudjowanych zasad Schopenhauera, Hartmanna i innych. Autor, nie mając odwagi i powagi, aby stanowczo wziąć za kark pozytywistów i wyrzucić ich śmiało za płoty, prześlizguje się wśród ciągłego jankania komunałów; nie śmiać powiedzieć całej złotej prawdy, mówi półsłówkami, a ząd wypadło ostatecznie, że praca ta nie zrobiła żadnego wrażenia i przeszła pokryta grzecznem, ale znaczącem milczeniem.

Dziś p. Bourget wystąpił z nową powieścią pod tytułem: *Zbrodnia miłości* (*Un crime d'amour*). Jest to pewien rodzaj studium psychologicznego, i, jak to zwykle się zdarza, jest to za słabe na traktat filozoficzny, a za mądre na powieść, mówiąc po polsku, — pół psa, pół kozy!

P. Chazel, bohater powieści, człowiek naukowy, ożeniony, ojciec rodziny, kochający swą żonę, wzajemnie kochany, spokojny w swym kącie, szczęśliwy, nagle, przechodząc przez Ogród Botaniczny, — tutaj to za światem! — spostrzega w bocznej ulicy żonę swoją w towarzystwie jednego... jak zwykle, ze swych przyjaciół... Naturalnie, na ten widok, coś go ukłuło w bok, około serca. Zamiast zbliżyć się do rozmawiającej dość żywo pary i dowiedzieć się o powodach tego samotnego spaceru, powraca on spokojnie do domu i czeka, czy żona i ten kochany Armand raczą mu wytłómaczyć wielką tajemnicę swej wycieczki do Botanicznego Ogrodu...

Ale gdy to wytłómaczenie nie przychodzi do skutku, biedny Chazel, siedząc przed tablicą okrytą zawilim rachunkiem, jakiegoś zadania, tak sobie matematycznie wyklada rzecz całą: „Z dwóch rzeczy jedną; albo ta przechadzka i to ich milczenie tłómaczą się jakimś błahym, niewinnym powodem: wycieczką w celu dobroczynnym, przypadkowym spotkaniem, a jeśli nic mi nie wspominali o tem to przez fałszywą zapewne obawę, że mi się to może niepodobać; albo też ta przechadzka i to milczenie znaczą, że jest jakaś tajemnica pomiędzy Heleną (żoną Chazela) i Armandem — mówmy, jak jest, że się kochają!“ Nie potrzeba było być wielkim matematykiem, aby znaleźć takie rozwiązanie zadania.

Z takiego wychodząc poglądu, autor dalejże rozwijać, rozwałkowywać to założenie, przez nieskończoną liczbę katek... ażeby dojść do takiej konkluzji małżeńskich rozmyślań: Niestety! biedna moja głowo, zadanie jest następne: czy ona go kocha? czy ona go nie kocha? A wśród tej powodzi rozumowań, zapytań i odpowiedzi, akcja się wlece i czytelnik nie widzi końca...

Nie jest to rzecz nowa, za jaką chcą nam przede wszystkim dziś wystąpienie p. Bourgeta w literaturze nadobnej; czyż jest ona prawdziwie nadobną? Te rozumowania bez końca, tam właśnie, gdzie brak ruchu i życia, najdotkliwiej uczuwać się daje! Wszak od dawien dawna znamy te analityczne powieści. Stendhal poprzedził tu Balzaca, a Balzac w tym rodzaju, jak w wielu innych, nie



## Rozchód:

Książki i czasopisma . . . . .	231 fr. 15 ct.
Oprawa książek . . . . .	133 „ 75 —
Opłata listów paczek . . . . .	64 „ 80 —
Pomieszkanie, opał, światło, usługa . . . . .	423 „ „ —
Kassa żelazna . . . . .	203 „ „ —
Nadwyczażne . . . . .	19 „ 50 —
Przybito do funduszu żelaznego . . . . .	197 „ 20 —
	1272 fr. 40 ct.

Fundusz żelazny „Biblioteki wynosi obecnie 7,257 fr.

Fundusz szkolny, czasowo pozostający pod nadzorem „Biblioteki“, wynosi 10,014 fr. Stosownie do uchwały Walnego Zgromadzenia z d. 15 Listopada r. z., zwróci się z tego funduszu do kraju 9,000 fr., w jaknajkrótszym czasie, reszta zaś pozostanie nadal w ręku dotychczasowej administracji. Pobudki i cel tego postanowienia ogłoszono w osobnym piśmie wydrukowanym w *Kuryerze Lwowskim* N. 333 i w innych dziennikach. Wreszcie z pozostałych funduszy „Bratniej Pomocy“ i z nadwyczażnych składek dano wsparcie rodakom: 16-u biednym podróżnym; 3 miejscowym pożyczki bezprocentowe, w czasie ostatniej przedśmiernej słabości pułk. Paszkiewiczowi 200 fr.; na wygnańców naszych z Prus 45 fr. 80 ct. Razem wydano na cele dobroczynne 396 fr. 75 ct.

Jassy 31 Grudnia 1885 r.

Zarząd Towarzystwa Biblioteki Polskiej w Rumunii. — Prezes Dr. *Lukaszewski*. — Członkowie: *X. Chwała, Dr. Lipa, Jan Bogusz, Alexander Gąsiorowski, K. Szultz, E. Beldowicz*.

## Z DZIAŁU PRZYRODY

## Słońce i przestwór.

Słońce źródłem światła, ciepła i działań chemicznych. — Ile świec jarzących dorównywałoby blaskowi słońca? — Porównawcze zestawienie siły światła słonecznego. — Trzy źródła dostarczające ciepła ziemi. — Jaką ilość ciepła ziemia od słońca odbiera? — Ciepło słoneczne mogłoby dziennie stapać warstwę lodu otaczającą słońce, grubą na 17 kilometrów. — Jaką ilość pracy wytworzył mogłoby ciepło słoneczne? — Przyczyna wytworu prądów powietrznych. — Związki i rozkłady chemiczne. — Wpływ słońca na życie roślin i zwierząt. — Światło rodzicielką barw i woni. — Wszelki ruch ziemski, każda szarża kawaleryi, jest wytworem siły mechanicznej słońca. — Jaką ilość siły słonecznej ziemia pochłania? — Odległość słońca od ziemi. — Szybkość światła, kuli armatniej, głosu. — 325,000 kul ziemskich równoważą dopiero jedno słońce. — Gęstość i objętość słońca. — Przenośny ruch jego. — „Ciemności“ Byrona — Czy słońce jest zamieszkanem i czy być może w przyszłości? — Zniszczenie życia z zanikiem wibracji słonecznych.

Słońce jest krzewicielem życia na ziemi. Jest ono źródłem życia, skarbem niewyczerpanym, odżywiającym od miliona milionów wieków wszystkie siły mechaniczne i fizyczne i wszystkie siły jestestw żyjących, roślin i zwierząt. Słońcu to zawdzięczamy, że kula ziemiska, zamiast być ponurą pustynią, zapełniona ciemnościami i milczeniem, jest areną światła, ciepła, ruchu, jednym słowem: życia.

Wyobraźnią naszą przeraża sama myśl, że ta pochodnia świata mogłaby kiedykolwiek zgasnąć i nie przesyłać już ziemi i planetom płodnych swych promieni. Ewentualność tak straszliwej katastrofy jest wprowadzie wielce wątpliwą, wszelako zdarzały się już w przestworze podobne przewroty.

Ludy pierwotne w naiwnej swej niewiedomości upatrywały w słońcu Wszchemocnego Boga materii; cześć ognia i światła jest też podstawą wszystkich teogonii. Rolnik pracujący w polu, rzucający ziarno w skiby orne, czyż zastanawia się kiedykolwiek nad tem, że cała jego praca byłaby bezowocną, gdyby nie wpływ dobroczynny promieni słonecznych, pobudzających ziarno do życia? Przemysłowiec opalający swą maszynę węglem, dla przetworzenia wody w parę, następnie w siłę poruszającą, czy pomyślał kiedy, że ta siła jest produktem słońca?

A jednak niema żadnej wątpliwości, że słońce rodzi wszystkie te cuda, jakimi praca natury

i praca człowieka zapełnia ziemię. Wiedza to uwidoczniła. Przerzucmy się myślą na słońce, to jest przebieżmy przestrzeń tak odległą, że po ciąg pospieszny drogi żelaznej potrzebowałby na jej przebycie trzystu pięćdziesięciu lat, a zbierzemy sporą garść faktów wielce ciekawych.

Orzeczenie, że słońce jest źródłem najsilniejszego światła, jakie znamy, jest tylko ogólnikiem; pożyteczniejszem też nierównie będzie ocenić z przybliżoną dokładnością siłę tego kolosalnego ogniska. Od lat dwustu usiłowano wymierzyć ową siłę, a jakkolwiek nie wszystkie rezultaty są z sobą zgodne, dają jednak dokładne pojęcie o mocy blasku gwiazdy dziennej. Pomijając oszacowania fizyków z XVII i XVII w., jako to: Maurolicus'a, Auzout'a, Huygens'a, poprzestaniemy na rezultatach osiągniętych przez Bonguer'a. Posługiwał się on soczewką wklęsłą dla rozszczepienia promieni słonecznych w ten sposób, aby osłabić ich blask w stosunku łatwym do obliczenia. Następnie porównał tak zredukowaną siłę oświetlającą światła słonecznego, z blaskiem świecy pomieszczonej w pewnej odległości od rozpiętego ekranu. W ten sposób Bouguer znalazł we Wrześniu 1725 r., że słońce w wysokości 31° ponad horyzontem, w czasie pogodnym, dorównywa blaskowi 11.664 świec jarzących z odległości 0,43 metra, czyli blaskowi 62.177 świec z odległości jednego metra. Według prawa zmiennosci siły światła w stosunku odwrotnych kwadratów z odległości, z uwzględnieniem pochłaniania go przez atmosferę, przychodzimy do tego rezultatu, że słońce w zenicie w czasie pogodnym daje blask 75,200 razy silniejszy od świecy pomieszczonej w odległości jednego metra od przedmiotu oświetlonego.

Obliczenie to odnosi się, naturalnie, tylko do tej ilości światła, jaką słońce przesyła ziemi przez warstwy gazowe tworzące atmosferę. Warstwy te są mniej lub więcej nasycone parą wodną, cząstkami stałymi, będącymi w zawieszeniu pyłkami i zarodkami wszelkiego rodzaju. W tym też, tak zmiennym, ośrodku część światła słonecznego zostaje pochłonięta w stosunku tem większym, im wysokość słońca ponad horyzontem jest mniejszą.

Fizycy usiłowali porównać światło słoneczne z wydawanem przez inne bryły kosmiczne, jak: księżyc i gwiazdy.

Według Wollaston'a światło słoneczne jest 20 miliardów razy silniejszym od tego, jakie wytwarza Syryusz, który, jak wiadomo, ze wszystkich gwiazd bliższy światłem najżywszem. Wynika stąd, że gdyby słońce zredukowało się do punktu błyszczącego, którego blask dorównywałoby wydawanemu przez Syryusza, potrzeba byłoby, aby ziemia cofnęła się w przestwór do odległości 140,000 razy większej od tej, jaka dziś naszą planetę od słońca oddziela. Odwrotnie, gdyby Syryusz zbliżył się do nas w ten sposób, że zająłby miejsce słońca, światło jego wyrównywałoby wydawanemu przez 94 słońce podobnych naszemu. Według Bonguer'a siła świetlna słońca jest 300,000 razy większą od blasku księżycowego.

Trzy główne źródła dostarczają ziemi ciepła, a mianowicie: ciepło wewnętrzne jej masy, ciepło przestrzeni międzyplanetarnych, i wreszcie ciepło, jakie nasza planeta od słońca odbiera.

Przez każdy punkt w przestworze przebiegają promienie ciepłikowe przesyłane z gwiazd najodleglejszych, słońce, brył ciemnych, krążących w przestrzeni; jednym słowem: ze wszystkich mas materii ciepło napływa do każdego w szczególności ciała niebieskiego. Z ciągłego tego promieniowania wytwarza się temperatura, zmienna zresztą w każdym punkcie wszechświata. Fourier pierwszy wykrył i ocenił istnienie tej temperatury zasadniczej przestworu. Udowodnił on, że gdyby ziemia oprócz swego ciepła wewnętrzznego otrzymywała jedynie tylko ciepło słoneczne, gdyby zatem przestrzeń międzyplanetarna była całkiem pozbawioną ciepłika, straty jego, zachodzące w nocy i w porze zimowej, byłyby tak ogromne, że żadne jestestwo nie mogłoby oprzeć się gwałtownym zmianom ztąd wynikającym w temperaturze miejsca danego. Temperatura wszakże przestworu jest o wiele niższą od najzimniejszych stref biegunowych;

miał i dotąd niema sobie równego. Ale też użytek, jaki on robił z tej analizy psychicznej, jakże był umiarkowany, a zarazem potężny! A analizy pani George Sand, a tylu innych stylistów. A tak nam blizki, a drogi przykład, autorki nieodżałowanej „Białej Róży“, rozwijającej się na szpaltach *Bluszczo!* Są to więc stare ryszunki starych teatrów, a będą zawsze nowemi, ilekroć je podniesie świetny talent znakomitego pisarza. Wszak pozytywiści i naturaliści analizują również; niezawsze to przyjemnie pachnie, co z tej analizy wychodzi, ale analizy zaprzeczycie im nie można. Cóż więc tu nowego i szczególnego w tej powieści p. Bourgeta? Oto, że napisana z wielkim talentem stylisty, nie jest ani poruszającą, ani zabawną, a jako nauka tego zatruwania moralnego, które jest specjalne Francuzom, owiele może przenosi wszystkie przyrządy naturalistów.

Zdaje się więc w ostatnim rezultacie, że to nie p. Bourget jeszcze zwycięży hydrę pozytywizmu. Czekajmy więc tego Messyasza, którego nam zapowiadają: zniechęcenie czytającej publiczności, powodzenie tak wielkie, jakiego doznała *Umarła* Oktawiusza Feuillet'a, przyjęcie do akademii autora *Księżdzia Konstantyna* (Halevy) i przemówienie, tak stanowcze, Paillerona.

## Sprawozdanie z czynności Towarzystwa „Biblioteki Polskiej“ w Rumunii za rok 1885.

Jeżeli instytucja nasza rozpoczęła rok 20-ty istnienia swego i przez ten czas przetrwała rozmaite koleje, walki wewnętrzne i zewnętrzne, stanowi to dostateczny dowód jej żywotności i dobrze wróży na przyszłość. Właśnie w r. b. „Biblioteka“ była znów przedmiotem napaści, które nawet we lwowskim „Dzienniku Polskim“, a podobno i w czernowieckiej „Gazecie Polskiej“ znalazły miejsce popisu. Chociaż to były ślepe strzały, z niskich wypływające pobudek, oświadczamy niniejszem, że jesteśmy gotowi każdemu rodakowi, chcącemu w dobrej wierze przekonać się o przeszłości, kierownictwie, administracji, stanie obecnym „Biblioteki“ dać wszelkie informacye i dostarczyć wszelkich dokumentów, jakie posiadamy; że domagamy się komisyi lustracyjnej, złożonej w kraju z ludzi prawych bezstronnych, któraby tu na miejscu przekonała się o prawdzie. A czynimy to jedynie dlatego, że się opiekują od wielu lat „Biblioteką“ mężowie, którzy do dziś otaczają powagą imienia swego naszą instytucję. „Biblioteka“ od początku do dnia dzisiejszego sumiennie była zarządzana. Zresztą i wobec dziennikarstwa naszego powinniśmy stanąć z czołem podniesionem, albowiem zawsze popierało ono Bibliotekę, a szczególnie w r. b., bo otrzymaliśmy darmo: *Tygodnik ilustrowany, Słowo, Niwę, Gazetę świąteczną, Role, Dziennik dla wszystkich, Ateneum, Pamiętnik fizyograficzny, Wszechświat, Gońca wielkopolskiego, Dziennik Poznański, Muzeum, Pismo aptekarskie, Gońca świątecznego, Gazetę naddnieprzańską*; za opłatą: *Frawdę, Kronikę rodzinną, Wieczory rodzinne*; za pół ceny: *Bluszczy, Biesiadę literacką, Kłosa, Przegląd tygodniowy, Romans i powieść*; wreszcie księgarnia Gebethnera i Wolffa odstępowała nam wydawnictwa swe wszystkie także za połowę ceny. Oprócz tego otrzymaliśmy w darze 159 książek, pomiędzy którymi odznaczają się doborem ofiarowane nam przez p. Czepielowskiego, gorliwego opiekuna naszej instytucji. Dodawszy do tego 65 dzieł i czasopism najnowszych, zakupionych z bieżących dochodów, stwierdzamy, że księżnica nasza obecnie składa się z 4.105 tomów, krom duplikatów, książek ludowych i dla dzieci, których jest około 200. Z tego skarbcza, duchowego korzystało na 50 członków tylko 37-u, którzy atoli przeczytali 1.160 tomów

## Dochód:

Składki członków miesięczne . . . . .	428 fr.
Odsetki funduszu żelaznego . . . . .	834 „ 35 ct.
Nadwyczażne . . . . .	10 „ 5 „
	1272 fr. 40 ct.



Fourier ocenia ją na 60 stopni i niżej zera, a Pouillet na 142 stopni. Jakkolwiek jednak niższa jest temperatura przestrzeni niebieskich, łagodniejsza temperatura powierzchni kuli ziemskiej i daje naszej planecie ciepło zasadnicze, niezależne ani od ciepła słonecznego, ani od ciepła właściwego wnętrza ziemi.

Powiększanie się temperatury, jakie zaobserwowano w warstwach ziemnych, w miarę zagłębiania się w nich, jest niezaprzeczoną dowodem istnienia ciepła właściwego kuli ziemskiej. Fourier udowodnił, że wpływ wyłączny promieni słonecznych nie mógłby nam objaśnić tego powiększania się temperatury; gdyby bowiem słońce oddziaływało na nią w ciągu wielkich wpływów czasu, to w końcu temperatura ta byłaby jednostajną w pewnej głębokości ziemi,—gdyby zaś, przeciwnie, promienie słoneczne nie wytworzyły tego skutku, temperatura warstw ziemnych musiałaby zmniejszać się w miarę zagłębiania się we wnętrzu ziemi. W obu hipotezach rezultat byłby niezgodny z obserwacją.

Ciepło wewnętrzne ziemi przechodzi drogą przewodnictwa od środka do powierzchni ziemi, której temperatura nie może przewyższać 30 stopnia ciepłomierza Celsyusza.—Pomimo to temperatura ta byłaby zdolną stopić w ciągu lat stu warstwę lodu 10 $\frac{1}{2}$  stóp polskich mającą grubość. Wskutek tej emisji ciepła kula ziemską coraz więcej oziębia się, lecz z drugiej strony tę stratę ciepła wynagradza jej promieniowanie słoneczne, które jest głównym źródłem ciepła ziemskiego.

Ponieważ słońce przesyła w każdej minucie na każdy metr kwadratowy ziemi, na jaki jego promienie prostopadle uderzają, ilość ciepła wyrównywaną 17,633 jednostkom ciepłikowym, jak to obliczenie okazało, można ztąd łatwo ocenić całkowitą ilość ciepła, jakie od słońca odbiera kula ziemską wraz z jej atmosferą w ciągu roku. Wypadnie nam wtedy kolosalna ilość ciepła, reprezentowana przez liczbę 1,210,000,000,000,000,000 jednostek ciepłikowych!

Tak olbrzymiej ilości ciepła umysł nasz pojąć nie może. Pouillet w ten sposób ją uzmysławia: „Gdyby całkowita ilość ciepła, jaką ziemia odbiera od słońca w ciągu roku, była jednostajnie rozprowadzoną na wszystkie punkta kuli ziemskiej, i gdyby bez żadnego ubytku mogła być użytą do stopienia lodu, to byłaby ona zdolną stopić warstwę lodową grubości 31 metrów czyli przeszło 107 stóp polskich, otaczającą dokoła całą ziemię.“

W przeciętnej odległości ziemi od słońca ilość ciepła, jaką to przesyła w minucie jednemu metrowi kwadratowemu ziemi, reprezentuje 17,633 jednostek ciepłikowych. Jasną jest rzeczą, że tę samą ilość ciepła otrzymują wszystkie metry kwadratowe powierzchni ziemi. Wypada ztąd, że wskutek promieniowania słonecznego w ciągu jednej minuty półkula ziemi ogrzewana byłaby przez 48,470,000,000,000,000,000,000,000 jednostek ciepłikowych! Jeżeliby teraz chciałibyśmy poznać: jaką ilość ciepła odbiera całkowita powierzchnia ziemi w ciągu roku to powyższą liczbę wypadałoby pomnożyć przez 2,150,000,000.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## WIADOMOŚCI Z HYGIENY.

### O odzieniu.

Odzienie w ogólności. — Odzienie jako ochrona od zimna. — Odzienie jako przewodnik elektryczności, wilgoci. — Inne właściwości fizyczne odzienia. — Metoda D-ra Jaegera. — Kolor odzienia. — Forma jego. — Moda i odzienie. — Odzienie co do części ciała, jakie odziewa; co do wieku; płci (gorset); co do ogólnego stanu zdrowia; co do pracy dnia, (pościel); co do pory roku. — Czystość odzienia.

Natura, która była tyle łaskawą dla rodu ludzkiego pod wszystkimi względami i temsamem, uczyniła człowieka królem stworzeń, upośledziła go, albo raczej chciała i pod tym względem wy-

kazać wyższość człowieka nad innymi stworzeniami, pozostawiając jemu samemu przygotowywanie sobie odzienia.

Ciało człowieka, taksamo jak wszystkie inne, promieniuje, t. j. traci ciepłik, a ponieważ otaczająca go temperatura jest znacznie niższą od ciepłoty ciała, skutkiem tego, gdyby nie naturalna ochrona, jaką jest skóra i odzienie, w krótkim czasie skutkiem owego promieniowania nastąpiłaby równowaga, a poza tem śmierć. W krajach stref gorących naturalne odzienie, jaką jest skóra, jest nietylko wystarczającym, lecz niekiedy przychodzi szukać ochrony od zbyt silnie działających promieni słonecznych. W umiarkowanych i zimnych krajach odzienie odgrywa nadzwyczaj ważną rolę w ekonomii organizmu ludzkiego jako regulator temperatury. Jest ono niejako ekranem, niedozwalającym ciepłikowi powstałemu w organizmie, a niezbędnemu do życia, wypromieniewać w chłodniejszą atmosferę. Przyczynia się do tego nietylko samo odzienie, które jest mniej albo więcej złym przewodnikiem ciepła, lecz także i warstwa powietrza, znajdująca się między ciałem a odzieniem. Tkaniny roślinne: lniane, konopne i bawełniane są lepszymi przewodnikami ciepła, aniżeli zwierzęce: wełniane, jedwabne. Z roślinnych bawełna jest gorszym przewodnikiem aniżeli len, skutkiem tego zimową porą lepiej chroni od wpływów zimna a w lecie nie dopuszcza gwałtownego ochłodzenia ciała.

Wpływ elektryczności na krążenie w naczyniach skóry i jej nerwy jest bardzo znacznym; ztąd też odzienie złożone ze złych przewodników elektryczności, jakimi są: jedwab i wełna, są bardzo pożytecznymi, prócz tego tkaniny, te pocierając się o suchą skórę, mają własność w pewnym stopniu wyrabiania elektryczności i z tego powodu powinny także mieć pierwszeństwo przed tkaninami roślinnymi.

Jedną z właściwości wszystkich wogóle ciał jest pewien większy albo mniejszy stopień możności chłonięcia w pory wilgoci z otaczającej atmosfery, która pewną ilość takowej zawsze zawiera, nazywa się to w fizyce hygromerycznością. Otóż ta własność chłonięcia wilgoci odgrywa w odzieniu niepomiarową rolę, gdyż, przyciągając z jednej strony wilgoć z powietrza a z drugiej wydzielinę naturalną skóry, która bezustanku transpiruje, staje się temsamem dobrym przewodnikiem dla ciepła i ztąd wynika, że im stopień hygrometryczności jest większym, tem odzienie jest mniej ciepłem i organizm w takowem łatwiej się ochładza. Włókna lnu i konopne są nadzwyczaj dziurkowate i skutkiem tego z wielką łatwością nasycają się wilgocią. Tkanki z nich zrobione wilgocą się bardzo prędko i temsamem ochładzają skórę, z tego względu przy chorobach skóry, tam gdzie właśnie idzie o odciążenie wydzieliny skóry i jej ciepła, należy im dać pierwszeństwo.

Bawełna pod tym względem stoi daleko wyżej; skutkiem tego jej wyroby (kretony) dla zdrowych są daleko korzystniejszymi. Anglicy dawno to już zrozumieli, i jakkolwiek koszula kretonowa nie jest tak przyjemną, jak webowa lub płócienna, przeważnie jest u nich w użyciu. Wełna i jedwab są w małym stopniu hygrometrycznymi trudno nasiąkają wilgocią, — i oto także jedna z przyczyn, iż lepiej ogrzewają, a raczej nie tak łatwo dopuszczają ochłodzenie ciała, jak poprzedzające.

Niewłaściwym jest, gdy się mówi, że odzienie grzeje, lub, że jedno jest cieplejsze od drugiego. Gdyby martwe ciało owinąć w najcieplejsze futro to ono go nie zagrzeje, na żywym zaś cieple robi tylko to, że go zabezpiecza od utraty ciepła w otaczającą atmosferę.

Tkanki, z których wyrabianem jest nasze odzienie, posiadają rozmaity stopień szorstkości, chropowatości, która w zetknięciu ze skórą w pewnym mniejszym lub większym stopniu drażni ją i w ten sposób ma wpływ na cyrkulację krwi i nerwy skóry. Hygiena i medycyna potrafiły z tego skorzystać doskonale, i częstokroć udaje się za pomocą wełnianego lub jedwabnego kaftanika noszonego pod koszulą, niejedno cierpienie zażegnać lub usunąć.

Nie podobna przynajmniej kilku słowami nie wspomnieć o „metodzie odziewania D-ra Jaegera.“ Prof. Jaeger twierdzi, że prócz ubrania wełnianego, każde inne ubranie jest dla organizmu człowieka szkodliwym i z tego powodu każde nosić jedynie odzienia przygotowywane z wełny.

Z powyższego, szczegółowego rozbioru tkanek i wykazanych zalet, jakie posiadają wełniane wyroby w porównaniu z innymi, nie podobna nie przyznać Jaegerowi, że w wielu razach metoda jego wiele bardzo korzyści przyniesie może organizmowi. Wymaganie jednakże, aby odzienie wyłącznie było z wełny, aby ani jedna nitka ze światła roślinnego nie pozostała na ciele człowieka, aby nosić krawaty, kapelusze i rączki od lasek wełniane—to już najzapamiętały zwolennik jaegerowskiej teorii musi się zaważyć i zwątpić o prawdziwie tak przesadzonych pojęć. A potem, w pewnych cierpieniach skóry, noszenie tkanin wełnianych bezpośrednio może się stać szkodliwym.

Jeszcze słówko co do koloru odzienia; jak zobaczymy, nie jest on wcale mało ważnym skutkiem właściwości przyciągania i odbijania promieni światła, a temsamem ciepła.

Tkaniny koloru białego szczególnie, jeżeli powierzchnia ich jest gładką, mają w wysokim stopniu własność odbijania promieni światła, *respective* słońca, i dlatego chronią od zbytńskiego ich działania; przeciwnie zaś, tkaniny czarne chropowate przyciągają je i skutkiem tego lepiej grzeją. Tosamo dzieje się z przyciąganiem wilgoci czyli hygrometrycznością. Doświadczenia D-ra Starka wykazały, że najłatwiej wilgotnieją tkaniny koloru czarnego, potem następuje kolor niebieski, dalej czerwony, zielony, najslabiej zaś biały. Również badania tego uczonego przekonały, że odzienia czarne i ciemnych kolorów przyciągają łatwiej wszelkiego rodzaju wyziewy a temsamem miazmata szkodliwe, niżeli kolory jasne, białe, i skutkiem tego twierdzi, że lekarze wcale niewłaściwie obrali kolor czarny dla siebie za odzienie. Ale z drugiej strony trzeba przyznać, że niepodobna całe życie chodzić w białym surducie.

Baczną należy zwracać uwagę, by materje kolorowe, szczególnie te, które są noszone na gołym ciele, nie były farbowane substancjami szkodliwymi, jak siarczanem ołowiu, aniliną i t. p.

Co do formy odzienia, to pierwszym i najważniejszym warunkiem jest to, aby było luźnym, aby nie kępowało członków i nie przeszkadzało w ruchach.

Między odzieniem a skórą powinna znajdować się warstwa powietrza, które podlegać winno ciągłemu odświeżaniu, wentylacji. Ciasne odzienie staje temu na przeszkodzie. Skóra nie jest wyłącznie pokryciem ciała: ma ona prócz tego swe specjalne przeznaczenie, swą funkcją, która jest rodzajem oddychania czyli wymianą gazów, a liczne gruczoły oddzielają w kształcie potu cząstki zużyte. Powstrzymanie funkcji skóry, sprawdza w krótkim czasie śmierć; doświadczenia robione na zwierzętach, których całkowicie oblepiano substancją do minimum dziurkowatą, jak np. kauczuk, stwierdzają to najdokładniej. Na ludziach widzimy tosamo przy oparzeniach: jeżeli te zajmują przestrzeń wynoszącą  $\frac{2}{3}$  całej skóry, wtedy kończą się bez wyjątku śmiercią. Ciasne odzienie nie grzeje bardziej, aniżeli luźne, jakby się to na pozór zdawać mogło. Dzieje się tu tosamo, co z dubeltowymi oknami. Gdyby ktoś wprawił w okno dwie szyby szczelnie do siebie przylegające wtedy nie osiągnąłby zamierzzonego celu t. j. aby powietrze zewnątrz nie wpływało tak zbyt szybko i ciepło nie uchodziło gwałtownie; gdy tymczasem przy pozostawieniu między nimi pewnej wolnej przestrzeni, wymiana powietrza następuje powoli i temperatura pokoju przytem znika się bardzo nieznacznie.

Ciasne gorsety, podwiązki, krawatki, ciasne obuwie i t. p. utrudniają krążenie krwi, sprawdza chwilowo zaczerwienienie; lecz gdy są przez czas dłuższy noszone, powodują także zaburzenia w odżywianiu pojedynczych organów.

Przyjrzyjmy się teraz pojedynczym częściom ciała: w jaki sposób mianowicie powinny być odziane, aby, prócz tego, że odpowiadają warun-



## DROBNE LISTKI.

kom mody, były zabezpieczone pod względem higienicznym, od szkodliwych wpływów zewnętrznych. Już-to wyznać należy, że higiena ma w modzie jedną z największych nieprzyjaciółek, prawa jednej są najczęściej przeciwstawieniem praw drugiej i ze smutkiem, a nawet ze wstydem, wyznać należy, że te drugie są decydującymi, że dla ładnego wyglądu, chociaż, co prawda, nie zawsze ta moda jest estetyczną i przyozdabia, poświęca się przepisy higieny, które jedynie dbają o zachowanie zdrowia; a wszakże przy dobrej woli możnaby połączyć jedno z drugim. Dla czego, łaskawe czytelniczki, nie mielibyśmy być co do mody samodzielny, czy dlatego, że we Francji w Grudniu i Styczniu panie ubierają się w króciutkie kaftaniki, to i w naszym surowym klimacie winny być noszone; czy dlatego, że tam wystarcza kapelusze siedzący na samym czubku głowy, powinniśmy nabawiać się w Warszawie kataru i odmrażać uszy? Boć takowe kaftaniki i kapelusze widzę na ślicznych kibiciach i uroczych główkach Warszawianek w czasie kilkunastostopniowego mrozu. Czy dlatego, że Sarah Bernhardt ma chudą szyję i nosi twarde, sztywne kołnierze sięgające po samą brodę; nadobne Warszawianki o łabędzich szyjkach, mają się dusić bezustannie, jak to się dzieje w gorących salonach? Doprawdy, trochę za wiele poświęcenia!

Głowa noworodków powinna być obnażona; nie należy najlżejszem ciśnieniem (czepki, chustki) przeszkadzać swobodnemu rozwojowi kości czaszki, a temsamem mózgu, wszak-to późniejsza skarbnica wiedzy i rozumu i temwięcej zmieści się tego, im mózg się lepiej rozwinię, prócz tego wszelkie nakrycie głowy u małych dzieci, tamuje swobodną transpirację skóry i wywołuje wysypki, tak zwaną ciemieniuszkę, co do której istnieje nawet pewien przesąd, że jej leczyć nie można a co za sobą pociąga nieraz przykre następstwa. Dla dorosłych najwłaściwszem ubraniem głowy na lato, jest kapelusz słomiany; na zimę zaś z wełny lub jedwabiu. Ciężkie nakrycie głowy i zrobione z tkaniny nieprzepuszczającej powietrza, jest wielce niehigienicznym, kto wie, czy nie tu leży przyczyna łysin u mężczyzn i zaniku kos u kobiet. Najpiękniejsze i najbudniejszej włosy widzimy u kobiet wschodnich, u Hiszpanek i Włoszek, które po większej części za nakrycie głowy używają jedynie koronki. Twarz, z małymi wyjątkami, nie wymaga okrycia, przyczynia się do tego obfitość naczyń krwionośnych znajdujących się w jej skórze.

Na Wschodzie, a także w niektórych klassach ludności robotniczej, zwyczajem jest chodzić z obnażoną szyją; zauważono, że tacy ludzie stają się mniej wrażliwymi na zmiany pogody i nie tak łatwo podlegają zaziębieniu jak ci, którzy starannie obwijają tę część ciała w „cache-nez“ i futrzane kołnierze. Z tego względu korzystnie byłoby dzieci przyzwyczajając do podobnego odzienia i w ten sposób hartować. Bardzo wiele tętnic i arterii przebiega przez szyję, prowadząc krew do mózgu i odwodząc zużyta, wszelkie zatem ściśnienia, sztywnymi kołnierzami, krawatami, naszyjnikami, są bardzo szkodliwe a u ludzi krwistych i starych nierazko powodują apoplexyę. Kołnierze i krawaty powinny być tak szerokiemi, aby między nie a szyję z łatwością można było wprowadzić palec.

(Dalszy ciąg nastąpi).

— **Wystawy stanowią** charakterystyczny rys naszej epoki i niema chyba takiego dnia i miesiąca, w którymby nie było gdzieś jakiejs wystawy. Obecnie mamy w Wiedniu pod protektorem Arcyksięcia Rudolfa wystawę ornitologiczną. Otwarta d. 20 bieżącego miesiąca, ma trwać tylko do 28, a obejmuje nietylko ptactwo śpiewne i pięknotóre, ale ptactwo leśne, łąkowe i wodne, będące przedmiotem myślistwa, ptactwo domowe, gołębie wszelkiego rodzaju. Wystawę urządziło wiedeńskie stowarzyszenie ornitologiczne i łączy się z nią wystawa środków hodowli tego rozmaitego ptactwa, ptaki wypchane i tym podobne naukowe preparata. W Rzymie trwa jeszcze wystawa metali w ich przeróbkach rozmaitych; d. 27 z. m. otwarta tam została wystawa włoska Sztuk Pięknych i prawie jednocześnie powszechna wystawa win i hodowli winogrodu. W przyszłym roku w Londynie otwartą będzie 2 Maja wystawa amerykańska; w 1890 r. w Jeddo ma być wspaniale urządzona i olbrzymia wystawa nietylko japońska, ale ogólnie azyatycka. Przygotowania czynią się ogromne. Ale, co najważniejsza w r. 1889 ma się odbyć wystawa paryzka, na którą długo nie chciał zezwolić rząd francuzki, lękając się, aby stuletnia rocznica pierwszej rewolucji nie dała powodu do niepożądanych manifestacji. Przecież minister spraw zagranicznych zawiadomił obecnie ambasady, że „ulegając parciu opinii publicznej“ na wystawę pozwolił, prosi przecież, aby ambasadorowie zawiadamiali rządy swoje, w jakich warunkach rząd francuzki widzi się zmuszonym przystać na żądanie narodu.

— **„Faust“ Goethego** posłużył za przedmiot do dramatycznej fantazyi, opracowanej przez profesora uniwersytetu Heidelberskiego, Ottona Gaspari. Tytuł jest: „Wygnanie Małgorzaty.“ Zakończenie różni się tem od „Fausta“ Goethego, że tu nie Mefistofeles jego, ale ostatecznie on zwycięża i opanowuje Mefistofelasa.

— **Hamlet** Shakespeare'a w przerobieniu dwóch francuzkich pisarzy: Samsona i Cressonnois, został przedstawiony w paryzkim teatrze Porte Saint-Martin. Sara Bernhardt przedstawiała Ofelię.

— **Kompozytor francuzki**, Vincent d'Indy, napisał muzykę do pieśni, także przez siebie napisanej lecz zapożyczającej od Schillera tytułu: „Lied von der Glocke.“ Text poezyi Schillera jest tu naśladowanym, ale rzecz została przeniesiona na grunt sztuki francuzkiej i udramatyzowana przedstawia narodowych bohaterów francuzkich, których dzieje są przy towarzyszeniu dzwonów wyśpiewywane. W muzyce znać wpływ Wagnera.

— **W weneckim teatrze „Fenice“** przedstawiono tej zimy dwa dzieła muzyczne: Dwaaktową fantazyę młodego kompozytora Puccini „Wila“, która została entuzjastycznie przyjęta i była wielokrotnie powtórzoną, i romantyczną operą Raimondo Serpanti „Leonora“, składającą się z prologu i trzech odsłon. Tylko pewne ustępy zyskały uznanie publiczności, ale za to podnoszą je bardzo wysoko.

— **W Rzymie** uczyniono ciekawe odkrycie. W pobliżu Lateraneńskiego kościoła, gdzie miał niegdys stać dom Marka Aureliusza, odkopano starożytną ulicę z długimi rzędami kolumn pamiątkowych, na których widnieją dobrze zachowane napisy. Dotychczas odczytano i skopiowano 20

takich epigrafów. Są one poświęcone przybocznej straży Imperatorów „equites singulares“, najwięcej ich jest z czasów Trajana, Adryana, Antoniusza. Byli to przeważnie „barbarzyńcy“, Galle, Germanii i Słowian kilku. Wzięci do służby Cezarów chłopcami młodymi, po wystąpieniu lat 25 byli wypuszczeni na wolność i mogli wracać do swej dalekiej ojczyzny północnej. Nazwiska ich zostały zromanizowane i znaczna część przybrała sobie jako przydomek imię panującego Cezara. Rzucając ziemię niewoli, zostawiali po sobie napisy poświęcone Bogom rzymskim, między którymi nie był zapomnianym geniusz Cezarów i Epona, bogini opiekująca się koniem. Co tu dramatów! Matki, płaczące zabranych synów swoich, i ci synowie wracający potem z Rzymu pod strzechy chat drewnianych....

— **W ogrodach Europy** tej strefy, do której kraj nasz należy, hoduje się około 2,300 roślin rozmaitego pożytku. Z tych: 1,140 służy do celów lekarskich; 283 wydaje jadalne owoce i nasiona, 117 jada się jako jarzynę, 104 mają korzenie lub cybulki jadalne; 40 należy do rodzaju zboża; 21 jest sagowatych, prawie takasama liczba jest cukrodajnych i miododajnych; 6 miododajnych; 30 olejodajnych. Zatem około 400 służy człowiekowi na pożywienie; dalej 8 jest woskodajnych; 75 farbierskich; 16 zawiera sole; 40 jest pastewnych; 200 uprawia się dla technicznych i rzemieślniczych celów. Roślin trujących uprawiamy 250, między którymi 66 narkotycznych.

— **Największy brylant**, znany na świecie, ukazuje się w przyszłym miesiącu na widok oczu ludzkich. W Sierpniu 1884 r. oznajmionem zostało na paryzkiej i angielskiej giełdzie klejnotów, że w Południowej Afryce znaleziono przepyszny, nieznanej dotąd wielkości, czysto-białej wody dyament, ważący 457 karatów. Syndykat paryzki i syndykat londyńskich kupców drogich kamieni, nabyli do wspólni ten pyszny okaz i za przybyciem do Europy dyament ów został natychmiast powierzony do potrzebnego oszlifowania najdoskonalszemu w Europie szlifierzowi dyamentów, który pracował nad nim bezustanku przez 8 miesięcy i obiecuje, że w nadchodzącym miesiącu Kwietniu, pracę swoją ostatecznie ukończy. Ci którzy oglądali brylant ten takim, jakim jest obecnie, donoszą, że tak wielkością, blaskiem, jak czystością wody, przechodzi on wszystkie historyczne i w skarbcach koronnych znajdujące się brylanty. Oszlifowany już prawie zupełnie, waży 230 karatów, gdy sławny „Koh-i-noor“, będący własnością korony angielskiej, waży tylko 106 karatów, „Regent“ francuzki 136 karatów, „Gwiazda Południa“ 125 karatów, „Piggot 82¼ karatów, „Wielki Mogoł“ waży 279 karatów, ale jest tylko oszlifowany w „różę“ i bez odpowiedniego połysku, powinien też zostać poddanym nowemu oszlifowaniu, i wtedy nie mógłby utrzymać wyższej wagi nad 140 karatów. Brylant obrabiany obecnie, gdy już zostanie oszlifowanym najdoskonalej, jak można i rozświetlonym w ten sposób do najpełniejszego już blasku, będzie miał 200 karatów.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 20-ty powieści pod tytułem: **Wydziedziczony**, przez Łukasza Malet'a, przekład z angielskiego.

**TREŚĆ.** Pogawędka. — Koncert uliczny, poezya, przez J. J. — Boży gniew, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Nowiny paryzkie, (dokończenie). — Sprawozdanie z czynności Tow. Bibl. Pols. w Rumunii za r. 1885. — Z działu przyrody, przez W. Niewiadomskiego. — Wiadomości z higieny, przez Dra Józefa Starkmana. — Drobne listki.

**Dodatek** obejmuje: Arkusz 20-ty powieści pod tytułem: **Wydziedziczony**, przez Łukasza Malet'a. — Przegląd mód. — 30 wzorów ubiorów robót wraz z opisem. — **Sekrety gospodarskie.** — **Dyspozycya stołu.**

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów. Krakowskie-Przedmieście Nr 66.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.  
Варшава, 12 Марта 1886 года.